



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE  
WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: rs. 2 kop. 35.  
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:  
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.

W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich użytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.  
W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22 1/2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22 1/2.

## NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 49).



le w dobre ręce dostały się owe dochody bo obie damy miały niezmiernie zacne serca.

Pomagały wdowom i sierotom, płaciły regularnie sługom i służebnicom, dziesięciny wiernie kościołom swym oddawały, słowem spełniały wszelkie uczynki chrześcijańskie tak co do ciała jako i co do duszy. Hrabiankę przyjęły z otwartymi rękoma i z taką serdecznością, jakby jej rodzone. Szczególniej Malinka, poczciwa choć niedowarzona dziewczyna, formalnie zakochała się z pierwszego wejrzenia w szlachetnej sierocie. Jak to ona sobie obiecywała być dla niej dobrą i uslužną, jak chciała ją pocieszać, jak marzyła o czystej na przyszłość z nią przyjaźni, trudno wypowiedzieć; dość, że Szware znalazł dla hrabianki taką opiekę, że i w domu własnych rodziców nie mogłoby być jej lepiej. Prawda, że i hrabianka łatwo mogła obudzić sympatyę. Cichy a głęboki smutek przygniatający ją w tej

chwili, nie odrywał jej tak dalece od rzeczywistości, aby nie umiała być wdzięczną tym, co jej dobrze robili. Szwarecowi podziękowała ze łzami w oczach, wyciągnawszy do niego rękę którą ten z rzadkiem u niego wzruszeniem do ust przycisnął. „Jak Boga Kocham! mówił Augustynowicz, małom nie beknął, gdy na mnie spojrzała. Niech mnie dyabli porwą, jeśli nie jest sto razy ładniejsza niż ja”. X

Owo i nowa postać, już obwołana głosami sympaty, wplątała się w losy bohaterów tej książki. Że taka hrabianka nie mogła pozostać bez wpływu na nich, łatwo zrozumieć. Czy zaś przyszłość przypnie jej anielskie skrzydła do ramion, czy w onym ponętnej ciele wykaże duszę pełną oschłości i obłudy, dalszy ciąg nas o tém nauczycy.

Hej! hej! Gdyby to życie było jak książka; gdyby można dawać i ludziom dusze, tak jak się tworzy je w myśli:—niby ciż sami a inni byli by ludziska. Ale to wszystko jedno. „Bo ja dłem świata tego zatrute kolacze” mówi pachole. Dusza jest jako źródło: zatrutą wodę niesie daleko, a któż zaręczy czy mu trucizna nie leży w duszy na dnie, i czy zatrutych nie tworzyłby postaci? Dusza to karta biała! Bóg na niej pisze z jednej a szatan z drugiej strony; ale Bóg i szatan tylko tu symbole. W rzeczywistości jest inna ręka: iście, że świat tą ręką. Pisze świat, piszą źli i dobrzy ludzie, piszą chwile szczęścia—piszą najtrwałej cierpienia. Ale bywają dusze jak muszle. Muszla ziarnko piasku, dusza ból w perłę zamienia—smutek i samotność w tém środkiem.

Ale nie zawsze, i jak dla jakiej duszy. Smutek i samotność to czasem tylko pokrywa dla nudy, czezości i głupoty. Te siostry rodzone lubią mieszkać pod pałacami stawianymi ze smutku i samotności, szukając tam tego, czego nie zgubiły nigdy. Nie idzie za tém, żeby samotność nie miała powabów—smutek ich nie ma, przy-

najmniej nie dla smutnego. Samotność dla duszy, to coś niby jak chwila snu dla ciała. Więcej jeszcze: ta mglista monada niby topnieje w samotności, rozplywa się, rozpuszcza przestaje prawie istnieć; słowa i myśli kończą się w tej mileżącej krainie—dusza unicestwia się na chwilę—rozchodzi się na wszystkie strony od własnego środka.

Wszystko to nazywa się spoczynkiem.

Samotność jest najgorszą nazwą, jaką umysł ludzki wymyślić zdołał. Samotność nigdy nie jest samotną, towarzyszy jej zawsze cichość.

Szkoda, że mglistą szatę tej pani nosi najczęściej nader powabny paż, któremu na imię—lenistwo.

Czasem jednak (mówią poeci) samotność bywa chwilą twórczą. Dusza ugina się wówczas i drży, nachylając się do przyjęcia jakiejś wizji nadlatującej z zewnątrz.

Dla tego samotność lubią tylko głupcy lub młdrey, ospalecy lub poeci.

Hrabianka wiele lubiła samotność.

— Była tedy?...

Zobaczmy... Czas z tych mglistych krain zejść do rzeczywistości życia.

Wechodzi w nie i hrabianka.

Jako?

Jako młoda dziewczyna... Czy może być coś powabniejszego pod słońcem?

Taka słiczna mieszanina krwi, ciała, woni kwiatów, promieni słonecznych i... I czego?

I naszych złudzeń!

Leć złoty motyłu.

XII.

Smutno istotnie przepłynęła przeszłość hrabianki. Za życia ojca całe dni przesiadywała w samotnym pokoju, prawie ubogim, słuchając świergotania wróbla za oknem lub kłótni dziewczynek w kuchni.

Stary hrabia przychodził wieczorami, zmęczony i przybity ustawicznym przelewaniem z pustego w próżne, jak sam nazywał swoje sprawy. Nie mu się nie szczęściło. Swego czasu bywał obrotnym i zbiegłym; chciał dawać przykład z siebie arystokracji, jak to herbowni winni brać się do pracy i przemysłu, a w rezultacie stracił cały majątek. Zostało mu za to doświadczenie, które chętnie byłby sprzedał za jakie kilka tysięcy i jeszcze jedna rzecz, której byłby nie sprzedał, to jest wspomnienia i dumą rodową.

Cementem dla owego doświadczenia i owę dumy był w nim kwas do życia, ludzi i całego świata. Było to naturalne. Swoi go nie przyjęli, a ci, którzy go przyjęli—przyjęli tak, że mimowolnie przychodziła na myśl bajka o lwie kochającym i oslich kopytach. Żebyż miał jeszcze syna! Młode orlą wyleciałoby z gniazda z nowymi siłami, szukając słońca i blasku... ale córka?! Hrabia się nie ludził: córka musiała zostać starą panną lub wyjść po jego śmierci za pierwszego ktoby ją się trafił. Dla tego stary hrabia nie kochał tyle córki ile był powinien. Córka za to, czy pomimo tego, kochała go serdecznie: kochała, bo miał białe włosy, bo był nieszcześliwy bo wreszcie nie miała kogo innego kochać. Nakoniec on był dla niej ostatnim tomem opowieści, którą snuła dalej w marzeniach. Nieraz wieczorami zrzędnym głosem starca opowiadał jej dawne dzieje ich rodziny, pełne świetności i blasku—dawne, dobre dla hrabiów i hrabianek dzieje; a ona słuchając go tkwiła całą duszą w tej przeszłości.

Nieraz zdawało jej się, że od złotego tła legendy odrywa się jakaś postać skrzydlata—półrycerz husarz z krzywą szablą w dłoni, orli syn stepów i walki. Machnął ręką, i oczyściły się stopy z Tatarstwa, rzekłbys Krym dojrzyysz i morze błękitne za Krymem. Héj! zwykłe marzenia dziewczyny! Jak step szeroki tyle pieśni o jego czynach, a potem on taki sławny choć młody, taki krwawy choć tak kochany, schylał czoło przed jakąś postacią niewieścią. Zwykłe marzenia magnackiej dziewczyny!—Ta niewieścia postać to ona—on to jakiś Herburt lub Korecki.

Jak była wychowana, tak marzyła, a były te marzenia niepożyteczne, ba! może i szkodliwe, ale piękne—to też gdy stary kończył opowiadanie i wspomniawszy terażniejszość, dodawał zgorzyczą: „Moja wina, moja wina”—ona mu ręce na szyi związawszy, mówiła zwykle: „Nie twoja tateczku! wróca się, wróca te czasy!”

Ale czasy nie wróciły. Stary umarł, a jako opiekun, nie zjawiał się żaden wycięty ze zezerniałego tła obrazu ryceur. Postać co się zjawiała, nie miała nic wspólnego z ryceurkością. Ta głowa z twarzą surową i szerokiemi czołem, zimna twarz nowoczesnego myśliciela, żadną miarą, nawet w marzeniach dziewczyny, nie pasowała do miedzianego helmu i piór strusich. Inne potęgi musiały tętnić na czole prowadzącego uskrzydłone pułki na Tatarów.

Ale z drugiej strony Szwarca był czems zupełnie nowym dla hrabianki, czems co ją wprowadzało w podziw. Niewiele w nim było słów, ale był czyn. W krótkim czasie potrafił być dla niej wszystkim; dostrzegła w nim stanowczość, energię i szybkość działania. Może nie umiała sobie wytłómaczyć, że to także jest męstwo, tylko inne niż dawniej—czyż jednak mogła tego nie dostrzedz? Staremu hrabiemu nie udawało się nie—Szwarca objawszy jego interesa, robił w jednym dniu więcej niż hrabia w dziesięciu. Zrozumiał, że hrabianka potrzebuje mieć jakie

takie zasoby, by w drobiazgach nie odwoływać się do dobroci i kieszeni pani Wizbergowej. Na tę myśl ona drżała—on ją przewidział. Radykalnie ratował resztki dochodów hrabiego, a kroki jego w tym względzie były podobne do cięć lancetu, zawsze pewne, zawsze skuteczne. Naturalnie Szwarca radził sobie za pomocą znajomego prawnika, który mimo młodych lat, byłby w diabła wmówił bogobojność, ale dla czego nie poradził tak sobie stary hrabia? To naprowadziło hrabiankę na pewną myśl: arystokrację wyobrażała sobie w postaci swego ojca, demokrację w osobie Szwarca. „Och jacyż to ludzie być muszą!” myślała prawie z obawą—„straszni ludzie, którzy umieją łamać przeszkody, inni ludzie”. Resztę dopowiedziały jej książki. Hrabianka daleko zachodziła w takich myślach. Raz gdy spytała Szwarca o szczegóły jego przeszłości, usłyszała jak odrzekł z całą swobodą: „Mój ojciec był kowal!” Prawie nie rozumiała, jak taką rzecz można było tak naturalnie powiedzieć; zdawało jej się, że jeśli tak było, nie powinien był jej tego mówić—dla czego się z tem nie ukrył? Te słowa były istotnie młotem, który ciężko uderzył w duszę hrabianki.

Obrzuciła Szwarca zdziwionym wzrokiem, jakby szukając na nim skórzanego fartucha lub śladów isker na dłoniach. Zresztą należy wyznać, że mimo całej wdzięczności dla niego i pani Wizbergowej, sądziła z początku, sądziła wprawdzie cicho, że korona hrabiowska unosząca się nad jej czołem zjednała jej tych ludzi, sądziła że przygarniając pańskie dziecko, robili to trochę dla własnego zaszczytu. Otoż poznała, że przynajmniej co do Szwarca pomyliła się zupełnie. Wymawiał on słowo hrabia, tak jak żyd, cygan lub szlachcic, nie zwracając nawet uwagi na odrębność znaczenia sensu tych dźwięków. Czyżby tego nie rozumiał?—Nie—tego nie mogła przypuszczać, choć rzeczywiście kwestya arystokracji i demokracji leżała dotychczas odłogiem w jego duszy. Posądzała go tedy o umyślną ignorancję, ale tego nie dosyć—hrabianka postzegła, że w postępowaniu Szwarca z nią przebiegała się pewna wyższość a raczej pobłażliwość. Był dla niej delikatny i dobry, ale w ten sposób, jakby chciał okazać, że jego postępowanie było ustępstwem potęgi dla słabości, pobłażliwością sprężystego męża dla dziecka. Choć z drugiej strony, jakże bezpieczną czuła się pod taką opieką! Zdawało jej się, że dla Szwarca nie było nic niepodobnego. Mogła spać cicho i spokojnie—on czuwał. Z razu jednak próbowała inaczej postawić się względem niego—pragnęła była olśnić go swym ukształceniem, tymczasem wyszło na to, że Szwarca łagodnie sprostował jej pojęcia, pokazał co w nich prawdziwego, co mylnego; krótko: ku wielkiemu jej zmartwieniu nauczył, i oświecił; próbowała zaimponować talentem i pewnego razu siadłszy do fortepianu niby chcący niby nie chcący, rozsypała przed nim kaskady melodyi, ale cóż?!—utrącony Augustynowicz siadł po niej i zagrał daleko lepiej... Ten znów wszystko umiał, wszystko wiedział! Z bardzo zadumaną miną powróciła hrabianka owego wieczoru do swojego pokoiku. Że jednak te stosunki pojęła i rozumiała, dowodziło to w niej nieposledniej główki, a nie było dziwnym, że o nich myślała w tak krótkim czasie po śmierci ojca, bo nawet i rozpacz „dobrze ułożonej” kobiety ma w sobie pewną mniej więcej świadomość a zawsze niewinną kokieteryę.

(d. c. n.)

## KORESPONDENCYA.

Berlin w końcu maja 1872.

Po za obrębem wielkiej polityki zwracając się dzisiaj na wewnątrz ku sprawom religijnym, na zewnątrz raz ku Francji, inny raz ku żydom Rumunii, trzeci raz ku Serbii, czwarty raz ku karlistom hiszpańskim, piąty raz może ku Włochom, których następcą tronu Humbert w tych dniach był przybył do Berlina, by podawać do chrztu nowo-narodzonego syna następcy tronu prusko-niemieckiego—po za tym obrębem, który naszego skromnego zadania kronikarskiego nie dotyczy, jakkolwiek na dziedzinę jego wpływać może,—rozwijają się wewnętrzne i społeczne stosunki stolicy nowej cesarskiej w sposób, o jakim nam z naszego własnie stanowiska kronikarskiego rozpisac się w kilku słowach wypada. Ów dawny skład całości społeczeństwa berlińskiego, z podstawnemi żywiołami koszar i *spiess-bürgerstwa* na spodzie, z polyskiem uczoności i artyzmu u góry, stopił się i przekształcił w przeciagu fenomenalnie krótkiego czasu w inny charakterem i dążnościami organizm, na którego przeciwnych biegunach panuje z jednej strony namiętność spekulacji wyzyskującej po amerykańsku bez miłosierdzia wszystkich i wszystko, co się tylko da wyzyskać, a z drugiej strony bieda z nędzą, *potrzeba*, domagająca się drogą zgromadzeń ludowych i urządzanych na nich rezolucyj, tanich mieszkań a przynajmniej jakiegobądź pomieszczenia. Co najciekawsza a wielce dla tutejszych stosunków charakterystyczna, to, że wśród podobnego położenia rzeczy, na gruncie historycznie i społecznie tak zupełnie zachowawczej natury, wyrastają ze strony najpoważniejszych reprezentantów ekonomii politycznej pomysły, którychby się począwszy od rzymskich Grachów, skończywszy na Babeufach francuzkich, nie wyparli najradykałniejsi myśliciele socyalni. Tak np. pojawia się ze strony powag ekonomicznych, do jakich należy zaliczyć Fauchera, pomysł wywłaszczenia prywatnych posiadaczy gruntów miejskich przez państwo lub komunę na rzecz wnoszenia publicznych gmachów, gdzieby ludność uboższa nie ulegając bezmiernemu i bezsumiennemu wyzyskiwaniu, straszliwemu podatkowi nie poddanemu żadnej kontroli i skali, mogła znaleźć odpowiednie swym potrzebom i dochodom pomieszczenie. Jaktó? pytają zwolennicy tej obosiecznej cokolwiekbaż teoryi, a więc ma być dozwolony system ekspropyacji na rzecz gmachów publicznych, fortec, kolei żelaznych, dróg żwirowych, mostów, kanałów, a miałby być wzbroniony w interesie samegoż człowieka, jego najbliższych i najnieodzowniejszych potrzeb? Ze takie pytanie mogło się urodzić na bruku stolicy pruskiej po 17 miesiącach istnienia jej jako nowej stolicy państwa cesarsko-prusko-niemieckiego, pozostanie wielce charakterystycznym znamieniem nowych jej stosunków. Dodajmy jeszcze zepsucie moralne, widoczne na ulicach, widoczniesze może jeszcze na scenie pokątnych teatrów i w kolumnach inseratowych tutejszych gazet, zepsucie, nad którym, przyzywając interwencji religijnej, biada konserwatyzm *Gazety Krzyżowej*, nad którym biada przyzywając interwencji policyjnej, prassa narodowo-liberalna i postępowca,—a będziemy mieli mniej lub więcej wierne wyobrażenie o nowych naleciałościach, jakie razem z cesarstwem spadły na bruk berliński. Mało kościołów w Berlinie, jak na wielką

i tak z gruntu chrześcijańską stolicę, woła *Kreuzzeitung*, i powtarza za nią nie bez słuszności zmysł artyzmu i estetyki, a zgodnie z tym głosem pojawia się w sposób coraz bardziej stanowczy myśl wzniesienia wspaniałej nowej katedry,—*Dombau*—katedry zasługującej na tę nazwę, a zastępującej godnie budynek bez smaku, powagi i wartości, który w pobliżu zamku królewskiego niepostrzeżenie prawie się kryje, a mianem *Tumu* niezasłużenie się szczyli... Ow *Tum* jest jednak jeszcze *pomysłem* dopiero tylko, *pium desiderium* kierunku artystycznego pragnącego przyozdobić, kierunku zachowawczo-religijnego pragnącego ubłogosławić nową stolicę cesarską. Natomiast zbliża się do wykonania i urzeczywistnienia inna ozdoba Berlina, o której poniższych słów kilka. Cokolwiek bądź stosunki i prąd okoliczności z nową stolicą robią, jakkolwiek ją przerabiają z Aten nad Spreą na Chicago lub Nowy York nad Spreą, nie można przecie zarzucić rządowi, aby nie starał się zachować wszelkimi siłami stolicy swój pierwotnego charakteru, aby nie usiłował ześrodkowywać w niej o ile możliwości wszelkich znakomitości naukowych i artystycznych Niemiec. Ściągają tedy w mury jej Droysenów, Mommsenów, Frerichsów do uniwersytetu tutejszego, jak ściągają do teatrów i oper artystkę dramatyczną pannę Ziegler, by występowała w *Medei* Grillparzera, lub śpiewaka Sontheima ze Stuttgartu, by entuzjazmował w roli Masaniella lub rozrzewniał w roli Eleazara. Nie koniec jednakże na owych *żywych*. Stolica prusko-niemiecka powinna bardzo naturalnie pamiętać i o wielkich *umarłych* niemieckich, dzisiaj zwłaszcza, wśród grozy *strików*, wśród biadania *der Wohnungsnoth!* Szczyli się już Berlin na placu Ziethena szeregiem posągów bohaterów siedmioletniej wojny z powprawianymi porcelanowymi oczami; cieszy się dalej Blücherem i Scharnhorstem w pobliżu opery, Fryderykiem II naprzeciw akademii sztuk pięknych, dwoma Fryderykami Wilhelmami III, jednym w *Thiergartenie*, drugim w *Ensgartenie*, Schillerem na placu Żandarmów,—teraz urodziła się myśl uczczenia Göthego posągami ze spiżu czy marmuru w zagłębieniu *Thiergartenu* między bramą brandeburską a poczdamską. Pomysł wystawienia podobnego posągu największemu poecie Niemiec wywołał w świecie rzeźbiarskim całej Germanii artystyczny wyścig, istny rodzaj wojny *Śpiewaków na Wartburgu* z Tannhausera Wagnerowego,—wyścig, którego trwałe a piękne próby w pięćdziesięciu blisko okazach Berlin ma sposobność podziwiać i oglądać w kopułowym przedsionku starego muzeum. Istotnie wysiliła się tu sztuka rzeźbiarska niemiecka w najnowszych i najmłodszych swych reprezentantach na najrozmaitsze pomysły. Tutaj idealizowany jako greckie bóstwo Gothe, przyodziany fałdzistą szatą helleńską; tam zbliżony do Thordwaldsenowych wzorów łączących z dziwną zręcznością artystyczną rzeczywistość, jaką jeszcze współczesni znali, z ideałem, jaki sztukmistrz chciał stworzyć. Tam na piedestale allegoryczne postaci bożków i geniuszów, tu symbolizowane utwory poetyczne Göthego. Samo wyliczenie nazwisk współubiegających się artystów, których pracowite, pięknie pomyslane, przesłiznie mianowicie w szczegółach wykonane dzieła spoczywają u nóg posągów bogów Grecji,—zabrałoby dużo miejsca. Ograniczymy się tylko na ważniejszych i celniejszych, jako to na Siemeringu, Schaperze, Maurycym Schulzu, Rajnoldzie Bergarsie, Susmann-Hellbornie, Pakem, Dondorfie, Pfahlu, Costenoblu, Kramerze, Helmesie, Beerze bawiącym obecnie w Rzymie, Andersonie i Tre-

yem z Drezna, Pilau i Biterichu z Wiednia, Steinerze z Poznania. Największą artystyczną wartość przyznają znawcy utworom Siemeringa i Schapera, obu zamieszkałych w Berlinie. Gothe Schapera jest przedstawiony w wieku młodzieńczym, w postawie stojącej bez płaszcza i żadnego innego okrycia, spoglądający w świat swobodnie, jakby przejęty świętym ogniem poezji. Gothe Siemeringa natomiast jest przedstawiony w dojrzałym wieku męzkim, a tęp samym zbliża się więcej do rzeczywistości. Artysta wyobraził go w postawie siedzącej, w pełni siły i rozkwitu, w szczęśliwej owiej epoce, kiedy go już otacza powaga wieku starszego, nie odejmując mu siły twórczej młodości, istne ucieleśnienie najwyższej potęgi geniuszu poetyckiego Göthego. Otóż dwa najpiękniejsze według ogólnego zdania modele posągu Göthego jakkolwiek i o innych wieleby powiedzieć się dało, i jakkolwiek wszystkie te utwory razem, mimo skromnego orzeczenia tutejszego profesora Holtzendorffa, iż Francuzi górują nad Niemcami w dziedzinie twórczej, pozostaną pięknym pomnikiem artyzmu niemieckiego w obecnej chwili. Jest tam wiele epigonizmu, wiele naśladownictwa, ale epigonizmu i naśladownictwa z myślą i pracą, nie pozwalającą zamrzeć i zaginać w odległej jakiejś przyszłości mistrzom, jak Canowa, Thordwalsen, Rauch, nie mówiąc o Schinklu, Schadowie i Drakem...

Przechodząc ztąd w naszą pogadankę na inne pole, trącamy mimowolnie o dziedzinę nekrologii, która w ubiegłych właśnie kilku tygodniach obfitsze niż zwykle miejsce we współczesnej kronice Niemiec zajmuje. Pierwszą wzmiankę winniśmy tu baronowi *Aufsessowi*, znakomitemu archeologowi, dyrektorowi starożytnego muzeum germańskiego w Norymberdze, ofierze bardzo pożałowania godnej, choć według zaręczenia wszystkich tutejszych gazet bardzo na uniewinnienie zasługującej pomyłki. W czasie uroczystości inauguracyjnej nowego uniwersytetu strasburskiego, właśnie, gdy ze strony uczonych profesorów i uczniów wszechnicy rozlegały się pieśni *Wacht am Rhein* i *Vas ist des deutschen Vaterland* Arndta, odezwał się w pobliżu świst piszczałki. Zgromadzeni myśleli bardzo naturalnie, iż to nieprzyjazna demonstracja alzacko-francuzka, którą własnoręcznie skarcić należy. Dwóch profesorów nowego uniwersytetu rzuciło się w stronę nieszczęsnej piszczałki, a znalazłszy w jej posiadaniu 70-cio-letniego przeszło starca, zbili go i wyrócili na ziemię. Potem dopiero przekonano się, że gwizdający nie był ani Francuzem ani Alzaczkiem, lecz Niemcem najczystszy, nadto dyrektorem germańskiego muzeum w Norymberdze, baronem v. Aufsess i że nie chciał demonstrować, lecz mając słaby głos, zaświstał według swego zwyczaju na służbę. Pobity archeolog umarł w skutek pobicia; patriotyzm niemiecki nie pozwala jednakże nad jego grobem robić zbyt wielkiego hałasu... Druga z kolei wzmianka należy się sędziemu, zmarłemu w tych dniach mężowi stanu, ministrowi i prawoznawcy bawarskiemu, Ludwikowi Mauserowi. Poświęciwszy się badaniu starodawnych pomników niemieckiego prawa, wystąpił już w roku 1823 ze sławnym do dziś dnia w literaturze prawniczej niemieckiej dziełem, *Geschichte des altgermanischen Gerichtsverfahren*, dziełem, które ciągle jeszcze nie przestaje być rodzajem *vademecum* wszelkich reformatorów niemieckiego prawa i niemieckiej procedury sądowej. Nadto ma jeszcze Mauser i przez to niezwykle jak na uczonego niemieckiego znaczenie, iż w r. 1833 razem z generałem von Heideck i hr. Armann-

spergiem należał do regencyi przydanej młodemu królowi Ottonowi wybierającemu się do Grecji. W tym charakterze i na tęp stanowisku wypracował kodeks cywilny i kryminalny oraz procedurę obowiązującą dotychczas w Grecji.

W Wiedniu nareszcie zmarł również w tych dniach Maurycy Hartmann, powieściopisarz, znakomity felietonista i wypróbowany zwolennik wyobrażeń roku 1848. Wierny ówczesnym pojęciom, które w charakterze deputowanego przedstawiał w łonie parlamentu niemieckiego, frankfurckiego i stuttgardzkiego, pozostał mimo tryumfów oręża prusko-niemieckiego, wytrwałym przeciwnikiem takiej jedności niemieckiej, jaka dzięki jemu przyszła do skutku. Przepędziwszy dwadzieścia lat blisko na tułactwie, znalazł w roku 1868 w Wiedniu trwałe stanowisko jako współpracownik dziennika *Neue Freie Presse*.

## PRZEGLĄD LITERACKI.

Sztuka, zarys jej dziejów, zarazem podręcznik dla uczących się i przewodnik dla podróżujących 104 drzeworytów, przez J. Łepkowskiego w Krakowie 1872 r. nakładem wydawnictwa dzieł taniach i pożytecznych. Jeden tom w dwóch częściach: Część I. Wiadomości wstępne, zawiązki sztuki, znamiona i cechy stylów, zarys dziejów sztuki, żywoty najznakomitszych budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy str. 401. Część II. Skorowidz dziejów sztuk pięknych z epoki chrześcijańskiej, wykaz miejscowości w których są cenne zabytki sztuki, str. CLXXVI.

Tytuł dzieła, to założenie, przedmowa to rozwiniecie założenia i stanowisko autora, z tych tedy dwóch punktów na tę ważną w literaturze naszej książkę zapatrywać się będziemy.

W przedmowie, p. Łepkowski nazwał książkę swoją „elementarzem znamion i dziejów sztuki” tu więc miejsce rozebrać w jakim stopniu dziełko odpowiada zadaniu elementarza w którym systematyczność układu powinna niezachwianym porządkiem następujących po sobie myśli, zdań i podziałów rozwijać postawione w tytule założenie. W dalszym ciągu przytoczonego okresu, autor ze skromnością zaszczyt mu przynoszącą wygłasza pragnienie aby książka ta, w następnych wydaniach „poprawiana” bezustannie mogła dojść do rozmiarów i znaczenia jakich przedmiot sam wymaga.

Leży to każdemu miłującemu sztuki na sercu aby temu ogółowi który powinien być sędzią produkcji artystycznych dać sposobność dojścia do tego aby nim *stać się mógł* przez zapoznanie się dokładne z żywiołami które składały się i składają na życie sztuk. Z tego powodu nazwawszy dzieło p. Łepkowskiego ważnym zwłaszcza iż jest pierwszym tego rodzaju podręcznikiem w literaturze polskiej, obejmującym cały rozwój dziejowy sztuk, umyśliłem otwarcie wypowiedzieć zdanie moje: jak i w czemby przewodnik p. Łepkowskiego poprawić wypadło aby się mógł stać istotnie podstawowym, na drodze obznajmiania ogółu z rzeczami sztuk pięknych dotychczasami.

Zwraca przedewszystkiem uwagę czytającego wadliwość układu części składowych książki.

Zacniemy od tego co by mogło i powinno pozostać w każdym razie na swoim miejscu, a tęp jest „wykaz miejscowości w których są cenne zabytki sztuki” umieszczony na końcu dzieła.— „Skorowidz dziejów sztuk pięknych z epoki chrześcijańskiej” jest właściwie częścią pożyteczną dla tych którzy historię Ungera znają lub



S-ty Jan. Układ i rysunek Antoniego Zaleskiego.



w braku oddzielnej obszerniejszej rozprawy o rzeźbie i malarstwie, mogącej odpowiedzieć rozmiarami historycznemu przebiegowi budownictwa, stały się koniecznością a w każdym razie pożytecznymi są jako odrębna całość.

Taką samą odrębną całością stanowi „zarys dziejów sztuki“ a jeszcze odrębną dział pierwszy części pierwszej, mieszczący w sobie wedle szczegółowego spisu przedmiotów: *Wiadomości wstępne, zawiązki sztuki, znamiona i cechy stylów*, (domyslać się należy architektonicznych); *style klasyczne, chrześcijański styl, mahometaski nakoniec chrześcijański aż do Roccoco*.

Gdyby autor rzucił był okiem na ogólną postać pracy swój mógłby być z materiałów naukowych i historycznych jakie tu nagromadził utworzyć całość zupełnie systematyczną; czyto włączając poglądy i bibliografię sztuk Ungera w tok rzeczy lub tę ostatnią mieszcząc w przypiskach, czy też poprzedzając ją obszerniejszym „zarysem dziejów sztuki“ który w dzisiejszej swjej treści w każdym razie jest poglądowym i uogólniającym szczegółowe dzieje rozwijających się stylów, a wplatając cały słownik w koleje tego rozwoju otrzymałby był dzieło o sztuce zupełne, uniknąłby powtarzania jednej rzeczy po razy kilka; coby objętość dzieła o tyle zmniejszyła iż natomiast działy niektóre mogłyby zyskać obszerniejszy zakres.

Wada tedy układu pozornie zewnętrzna jest właściwie wewnętrzna, źródło zaś swoje ma w niedość dojrzałym wewnętrznym opracowaniu przedmiotu pozbawiającem przez to dzieło całości spójności wypłynąć mogącej z skoncentrowanego estetycznego poglądu na postawione sobie założenie obecnie rozrzucone po różnych miejscach. Str. 32, 34. Pan Łepkowski przeczuwał znać potrzebę poglądów, posługuje się też w tej potrzebie niekiedy określeniami Kremera nie wszędzie jasnymi i dokładnymi<sup>(3)</sup> a częstokroć i górnolotnie napuszonymi i nasadzonymi dziwactwami językowymi<sup>(4)</sup>. Pan Łepkowski twierdzi iż dobrze uczynił przytaczając poglądy Kremera na charakterystykę ostrołuku (str. 119 122) i że „one, lepsze wyobrażenia dają o rzeczy od tego, jakie by mieć można z definicyi suchych, określeń zwiezłych“. Definicje suche są istotnie nie właściwe w estetycznych rozprawach, na zwiezłości określeń jednak estetyka zyskać tylko może. Mojm zdaniem p. Łepkowski zdolny jest sam wznieść się na wyżyny takich właśnie określeń zwiezłych, jedrnych, zrozumiałych a częstokroć nawet poetycznych; dał tego dowód na pierwszych dwunastu stronicach wiadomości wstępnych, zakończonych estetycznym poglądem Libelta na sztuki piękne—jako też w wielu miejscach wiadomości wstępnych.

Tyle co do układu ogólnego i ogólnego wrażenia jakie dzieło czyni, obaczmy teraz jak brak głębszego wniknięcia w przedmiot i płynący ztąd brak szerszego poglądu wpłynął na wadliwość szczegółowego obrobienia.

Pragnąc elementarnie, metodycznie rzecz traktować należało stawiać zawsze na pierwszym

<sup>(3)</sup> patrz niżej objaśnienie (str. 119) do wyrazów „kwiatem liczącej refleksyi“.

<sup>(4)</sup> Str. 86, zamianie, uwieźgle, str. 120 wiersz 6 i 7, deklamacya fałszywa niezgodna z historią, ostrołuk bowiem w swjej epoce przejściowej w renaissance w XVI wieku przy konstrukcyi i ogólnych kształtach swoich pozostawszy, posługiwał się półkolem w sklepieniach okien i wszystkimi szczegółami architektonicznymi renaissensu, a budowle tej epoki np. kościoł S-go Eustachego w Paryżu odznaczają się szczególnym powabem i urokiem.

miejscu zasady, na drugim zaś dopiero, dowody popierające je i szczegóły objaśniające cały rozwój tych zasad, p. Łepkowski inaczej postąpiwszy najważniejszą i najbardziej samotwórczą część książki swjej (od str. 1 do 185 jak mówi w przedmowie) uczynił zlepkiem niezwiązanym jednością myśli, jednością punktu wyjścia który w historii architektury więcej może niż w jakiegokolwiek innej sztuce sam się następuje.

I tak: pod tytułem „zawiązki sztuki“ autor zestawia zabytki najpierwotniejszego rozwoju społeczeństwa ludzkiego dowodząc że gdzie się ornamentyka zaczyna tam z nią i sztuka, mówi o budowlaach palowych, popielnicach, o cmentarzyskach i świątyniach pogańskich ziemi naszej<sup>(5)</sup> w następującym zaś rozdziale o „znamionach i cechach stylów“ gdzie na samym początku wyznaje iż „złączenie dopiero praktycznego celu z pomysłem dążeń wyższych, z ideałem, cechuje dzieło sztuki“ i t. d. (str. 45). Od określenia tych dążeń wyższych właściwie należało cały ustęp zatytułowany „zawiązki sztuki“ zacząć jako od pojęcia najogólniejszego—zawiązki te bowiem zawsze początkowanie mają w duchu, w idei, ornamentyka zaś jest już tylko przyczynkiem, dodatkiem, taki bowiem jest porządek wszelkiej czynności ludzkiej iż na pierwszym miejscu stoi idea, myśl, uczucie,—wykonanie zaś, praktyczny cel, na drugim.

Taki punkt wyjścia dałby był p. Łepkowskiemu możność kierowania się w tworzeniu książki poglądami obszerniejszemi wyższemi, autor byłby od razu znalazł wyborną drogę przeprowadzenia toku rzeczy przez wzmiankę o najdawniejszych pomnikach Hindusów zwanych Dągoby, Tope lub Stupy, tak uderzająco podobnych do naszych kopców, mogił i słupów<sup>(6)</sup> przez równie zbliżone do nich odwieczne piramidy egipskie, druidyckie pomniki, i wszelkie grobowce greckie i etruskie a tą koleją byłby mógł spojść rozrzucone po różnych miejscach książki i określenia w jeden wspólny wątek z którego szczegółły dają się snuć z większym dla mających się tą rozprawą wykształcić czytelników. Wzmiankowanym sposobem wykładu rzeczy doszedłby był autor do tej chwili rozwoju budownictwa która się już cechami stylowymi odróżniać zaczęła czyli wyprowadziłby cechy stylowe z najpierwotniejszych ich źródeł z ogólnych przymiotów i właściwości ducha ludzkiego rozwijającego się pod wpływem religii i pojęć, klimatycznych i społecznych stosunków, a w coraz inne wcielającego się formy. (d. n.)

## NOC KSIĘŻYCOWA.

(z Wiktora Hugo)

Księżyc cicho się błyszczał, igrając na fali...  
Najpiękniejszej z sultanek eunuch dziś nie strze-

[że,

Więc mażąc u okna, wzrokiem błądzi w dali,  
Gdzie woda srebrną nicią haftuje wybrzeże.

Z jej palców, głucho brzęcząc, wypada gitara;  
Półsenna, słyszy echo stłumionego głosu—  
Czy to okręt turecki nadpływa z Chiosu?  
Czy to drży Archipelag pod wiosłem tatarą?

<sup>(5)</sup> Oprócz ustępu o budowlaach palowych jestto jakby streszczenie dzieła J. I. Kraszewskiego Sztuka u Słowian i Litwinów, posługuje się też p. Łepkowski licznymi z tego autora przytoczeniami.

<sup>(6)</sup> Str. 52.

Może w falach kormoran zanurza się z krzykiem  
A woda jak deszcz pereł ocieka mu z pierzy?  
Może diw, co jest ruin nocnym wartownikiem,  
Kruszy, cegła po cegle blanki stariej wieży?

Cóż zamąca fal spokój pod oknem sultanki?  
Ani czarny kormoran burz żałobny poseł,  
Ani diwów rękami otracane blanki,  
Ani szelest miarowy okrętowych wiosel—

W morzu pluszcząc złowieszczą ciężkie wory  
[toną.

Słychać jęk przytłumiony co echem się żali,  
Widać drgającą masę w ludzki kształt rzeźbio-  
[ną...

Księżyc cicho się błyszczał igrając na fali.

## ZE ŚWIATA

### NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

#### POSTĘP WYOBRAŻEŃ RELIGIJNYCH W STAROŻYTNOSCI.

Chaque lieu de la nature, chaque moment de la durée ayant son génie propre représente la Divinité sous une face particulière... A ce point de vue, l'histoire est un culte éternel auquel chaque civilisation ajoute un rite souvent baigné de sang.  
ED. QUINET (Génie des religions).

In unsern Geistern, leben die Geister aller Verstorbenen, aller Zeiten.

H. STEINTHAL (Mythos und Religion).

Dziwni to byli, i jakże mało podobni do nas, potomków swoich — ci ludzie pierwotni! Gdy zestawimy drapieżność ich obyczajów, niewiedomość rzeczy najniezbędniejszych do poznania, potrzeby ograniczone do najgrubszych instynktów zwierzęcych, stosunki między sobą i cel życia — nie tylko z wykwintnemi formami społecznej towarzyskości, lecz z przesadną nawet prostotą dzisiejszego chrześcijańskiego pospółstwa, nietylko z komfortem klas zamożnych, lecz z lichymi wygodami, które obecnie zapewnić sobie może każdy niemal pracowity wyrobnik — i wreszcie nie jedynie z nauką ludzi wykształconych, lecz z wiadomościami jakie posiada w chrześcijańskim społeczeństwie człowiek najmniej oświecony — różnica ta zdawałoby się mogła jakimś bajecznym wymysłem, gdybyśmy zład inąd nie mieli aż nadto przekonujących dowodów, że jest prawdziwą. Obok pomników piśmiennych które lub bezpośrednio wskazują nam stan ludzkości w różnych odległych epokach, lub też dostarczają materiału do robienia wniosków przez analogię, pozostały jeszcze inne zabytki świadczące o postępowym rozwoju ducha ludzkiego, lecz nadewszystko znajdują się podziś dzień plemiona dzikich wyspiarzy i ludy barbarzyńskie, zamieszkałe na stałym lądzie uprzytomniające nam w żywym wzorze początek dziejów cywilizacyi naszej.

Mając przed oczami tyle wymownych faktów, daremnem byłoby powtarzać starą piosnkę o złotych wiekach historii, które jakoby z własnej winy zamieniliśmy na wiek żelazny, próżno ludzić się arystokratycznymi marzeniami o protoplastach, olbrzymach i geniuszach, gdy jawnem jest, że z wyroków niezależnych od naszych zrozumiałych rozszezeń ułomna i śmiertelna ludzkość odkąd trwa i dopóki trwać będzie, spełniać musi na ziemi trudny, lecz za to bardziej zasłużony zawód dorobkowiecza zdobywającego sobie powoli, własnym umysłem i własnymi rękami

zdźbło po zdźbło i ideę po idei wszystko co stanowi jego rozkosze, zaszczyt, mądrość i dostatek.

Lecz skoro postęp jest prawdą i niezmienną właściwością rodu ludzkiego, a o tém wątpić nie ma przyczyny, skoro ludzie nie od razu przyszli do wiedzy i do umoralnienia się w takim stopniu do jakiego dziś dotarli—o czém każdego kto chce przeszłość krytycznie zgłębiać przekonywa historia — to tém samém zstępując w badaniu od wyższych szczeblów do coraz niższych można przesledzić wszystkie fazy oświaty, wszelkie zwroty wyobrażeń, cały proceder doskonalenia się duchowego od ciemnoty w jakiej żyje np. dziki indyjanin do stanu wiedzy i moralności cywilizowanego Europejczyka. Pilne rozpatrywanie się w przeszkodach i środkach pomocniczych, w pomyślnych i nieprzyjaznych okolicznościach towarzyszących temu rozwojowi pozwoli zrozumieć nam: dla czego jedne grupy ludzkości (warstwy towarzyskie i narody) wysunęły się tak znakomicie naprzód, gdy inne zatrzymały się w pochodzie, lub pozostały od najdawniejszych czasów w zupełnym odrętwieniu. Będzie dla nas wtedy widocznym, że ta odrętwiałość nie jest absolutnie przywiązaną do istoty pewnych kast i plemion, że nie obala ona jedności rodzaju, ani też ogranicza działań postępu do uprzywilejowanych tylko wyjątków, lecz powstaje z warunków zewnętrznych, jest wypadkiem zarwad ubocznych a nie zasady naturalnej, skutkiem zrzędzeń przemijających, nie zaś ustawy niezłomnej—kwestyą długich wieków lecz bynajmniej nie całej wieczności.

Wszakże nie bardzo temu dziwić się należy, jeśli poetyczna a harda siłą doświadczenia i siłą ducha nieporównanie dojrzała niż to stać się mogło przed kilku tysiącami lat — pewna część społeczności dzisiejszej nie życzy sobie przyznawać się do pokrewieństwa z hordą Nemrodów karmiących się jak zwierzę surową strawą, lub Cyneynatów—pastuchów, włóczęgów, rabusiów i złodziei. Co prawda, nie świetne były pierwsze popisy obywateli świata na wstępie historycznego życia, nieświetne położenie jednostek i zaczątki społeczeństw. Prawo pięści stanowiło tu wymiar sprawiedliwości i regulowało stosunki praktyczne, wyobraźnia zaś, owa to wyobraźnia, której tyle znaczenia przypisują estetycy rządzą, ba, nawet wysnuwała z siebie wszelką teorię. Czém jednak mógł być taki pogląd młodej ludzkości i w jakiej formie wyrażał się najprzód—o tém słów kilka powiedzieć zamierzylimy.

Rzeczą jest niewątpliwą, że nigdy imaginacja nie ma tak szerokiego pola do bujania według swój woli, jak wówczas gdy wkroczy w dziedzinę faktów mało znanych, a wcale nie wyjaśnionych. Im człowiek mniej umie, im mniej potrafi sobie zdawać sprawę z tego co widzi i słyszy, tém częściej uciekać się musi do przypuszczeń, tém łatwiej wyobraża sobie w sposób hypotetyczny to czego nie wie i czego objaśnić rozumowo nie zdoła. Niewiedomość podnieca wrodzoną mu ciekawość, lecz sąd jego nie posiada jeszcze stałych danych, o które mógłby oprzeć się i nie po nić rozwikłać sieć otaczających go zewsząd zagadnień. Potrzebując rozwijać się duchowo i utrzymać istnienie fizyczne, człowiek w skutek już swego stanowiska na ziemi nie może zachować się biernie względem napotykanego tu i owdzie tajemnic, gdyż każda z nich wywiera wpływ na jego losy, każdą więc zniewolony jest przeniknąć, zwyciężyć jej niedostępność, przedrzeć zasłonę, po za którą ukrywa się moc niepojęta, a dopóty dlań złowroga, póki nie zbada jej treści i nie przywłaszczy na swój użytek jej funkeyi. Zmuszony prowadzić ciągłą walkę o byt

i postęp, i w tém zadaniu oddany własnemu tyłko przemysłowi, ród ludzki ma szerszą misję do spełnienia niż reszta stworzeń, a więc i daleką większą ilość trudności do usunięcia; działalność jego obejmuje cały zakres świata na którym żyje—a więc nie dla niego nie może pozostać obojętnym, co się tego świata dotyczy, bo wszystko tu łączy się z jego interesami, z jego życiem i przeznaczeniem. Ciekawość dziecka, żądza wiedzy męża dojrzałego są objawami tej różnorodnej solidarności człowieka z naturą i tej siły doskonalenia się, która pobudza go nieustannie do nowych odkryć dla dogodzenia wciąż nowym potrzebom następującym w miarę moralnego wzrostu i w harmonii ze zmianami odbywającymi się koniecznie w ciągu przejścia od niższego stopnia dojrzałości ku wyższemu. Mając do czynienia z czemś, co uderza zmysły, lecz czego logiczna przyczyna jest utajoną, dziecię czuje się pociągnięciem ku niewiadomemu, o ile to niewiadome zdaje się mieć związek z jego własną egzystencją; czuje się ono w sąsiedztwie jakiegoś cudu, i jeśli ów fenomen sprawia przyjemne wrażenie mały widz gwoli spodziewanej uciechy stara się zabrać bliższą z nim znajomość—w przeciwnym zaś razie niepokoi się, woła o pomoc, ucieka. W tém postępowaniu przejawiają się szerególniej dwie pobudki: instynkt zachowawczy, który każe dziecku jedno przyswajając a drugiego unikać, i czynność wyobraźni stawiającej przed niem miłe lub straszne widma, tém niepodobniejszą do rzeczywistości, im bardziej zrozumienie faktu przechodzi zakres dzieciennego sądu i praktyki.

Zdaniem Macaulay'a, wzrastająca zdolność sądzienia osłabia zdolność otrzymywania wrażeń, lecz uwaga jego ściągać się tylko może do wrażliwości prostodusznej a zabobonnej (\*). Wrażliwość ludzi wykształconych nie zmniejsza się przez to że inne powody i przedmioty ją wywołują. Nedorzeczne baśnie gminu nudzą wprawdzie rozsądnego słuchacza, ale z drugiej strony Madonna Rafaela, *Divina Comedia* Danta, kompozycje Mozarta i Bethovena nie zachwyca wcale prostaczka. Zabawisz go powieścią kłamliwą, przerazisz nieprawdopodobną brednią; potworność wyda mu się wdziękiem, niezgrabny fałsz cudowną rzeczywistością, ale nie poruszysz w nim struny współczucia dla genialnych utworów sztuki, dla kwestyj obchodzących ludzką całą, dla tego co jest niepospolicie wspaniałem i niezwyčajnie szlachetnym. Ciemnota i tępość posunięte do granic ostatecznych, odznaczają się tym, że wierzą wszystkiemu, a niczego nie pojmują, uwielbiają ladajakie ułudę, lecz istotnie godna podziwu prawda niechętnego doznaje u nich przyjęcia. Prostacy lud nie ma do czego jej odnieść, połączyć z jakimkolwiek innym artykułem swój wiary lub szczupłej wiadomości—nie ma stosownej skali do jej ocenienia. W porównaniu z monstrualnymi gwałtami, któremi zwykł on sobie tłumaczyć różne wypadki, rozumny ład natury traci u niego na swój szczytności. Zagroda wieśnia-

(\*) Macaulay twierdzi, że wzrastanie wiedzy ma się w odwrotnym stosunku do rozkwitu poezji, czyli że nauka ujarzmiwszy wyobraźnię trzyma ją od tąd w karbach ścisłej, suchej prawdy, co sprzyja bardzo filozofii, lecz nie sprzyja wcale natchnieniu, bez którego swobodnych polotów ani poezya, ani w ogóle sztuka nie mogą wytwarzać dzieł prawdziwie znakomitych. Błąd Macaulaya pochodzi z przyznawania zbyt wielkiej doniosłości żywiołowi fantazyi, ale to pewna, że fantazyja podsyca się niewiadomością, i chociaż z powodu wzmaganania się wiedzy nie znika zupełnie ze świata, to jednak jak wspomniemy o tém później, usuwa się przed swą przeciwniczką w coraz dalsze sfery i coraz innych szuka dla siebie tematów.

cza bez wiedz domowych, lasy bez bez wilkólaków, ementarze bez upiorów, zwaliska bez pokutujących duchów, pola bez rusalek, wiosenny grzmot bez wozu Ś-go Jerzego, leki bez zamawiań, nauka bez czarów — to dla prostego ludu śmieszne nowatorstwo wylęgłe w przewróconych mózgach „książkowych.” Takie jest zdanie dziś jeszcze naszych siermiężnych astronomów i filozofów, naszego niepiśmiennego proletaryatu, naszych kmiotków wychowanych w przesądnej tradycyi. A cóż dopiero sądzić mógł o zasadzie fenomenów przyrody człowiek pierwotny?

Wyobraźnia człowieka pierwotnego miała sposobność snucia swoich rojeń bez żadnej prawie tamy; nie jej nie ostrzegało o błędzie, nie nie przeciwilo się doraźnie formowanym mniemaniom. Wolno jej było wszystko co ukazywało się w niepewnych rysach i co odnosiło się do oddalonych motorów przedstawiać sobie jak się jej żywnie podobało, a raczej w takim kształcie i porządku, jakich najłatwiej domyślać się mogła biorąc wymiar z tego, co bezpośrednio nasuwały zmysły, i co najwięcej zbliżało się do usposobień i położenia ludzkiej jednostki. Człowiek pierwotny (mniejsza z tém gdzie mu krytyka historyczna przeznacza siedlisko: na wschodzie czy na południu Azyi) nim wyostał się z odętu niemowlęcych pojęć nim przebył jeden po drugim wszystkie cywilizacyjne etapy, które doprowadziły go nareszcie do racjonalnego zgłębiania praw i zjawisk natury — powodował się zwierzęcemi skłonnościami. Głód, zimno, żnój, boleść, użytek materyalny wyczerpywały do dna cele jego istnienia; były dlań normą dobra i złego, dzielności i niemocy. A jak co ucuwał w sobie, tak też rozumiał i po za sobą, tak wyobrażał w całej przyrodzie. Będąc obcym w szeregu stworzeń, wśród mnóstwa innych, dziwnych a różnorodnych egzystencji, które w oczach jego nawzajem zawadzały sobie, spychały się z miejsc karmiły się łupem i o tyle tylko mogły zachować się przy życiu, o ile potrafiły zabijać swoich sąsiadów, uwierzył on, że świat i wszystko w świecie jest zbiorem samodzielnych istot waleczących z sobą o panowanie, że najbardziej uzdolnione do tego boju są najdoskonalszemi; że lew i krokodyl zasługują na cześć z przyczyny swój siły, mysz ze względu na swoją zręczność, że kwiat i drzewo żyją jak ludzie, że góra jest kamiennym olbrzymem, a rzeka wężem nieśmiertelnym. Zestawiawszy ich potęgę z własną możebnością, człowiek pierwotny pozbawiony jeszcze środków które zdobył sobie później, korzył się szczerze przed lwem i krokodylem, przed skałą i ptakiem, przed górą i rzeką jako przed istotami wyższymi od siebie, od których zły lub dobrej woli zależały jego powodzenia i niepowodzenia, jego spokój i całość. Taki jest początek bałwochwalstwa; takim je widzimy u starożytnych egipcyan, asyryjczyków i t. p.

Ale nie wszystko czego był świadkiem człowiek pierwotny przedstawiło się mu w łączności wyraźnych przyczyn z wyraźnymi skutkami. „Żadne zjawiska mówi p. J. Ochorowicz, nie były tak powszechnie przypisywane bezpośredniemu wpływowi Bóstwa, jak te które odbywają się nad naszymi głowami” (Pytania psychologiczne XIX wieku)—a to dla tego mianowicie, że niepodobna było ich przypisać żadnej z istot widzialnych. Szelest liści dawał się łatwo wytłumaczyć rozmową drzew, szmer strumieni gwarem wód, rosa łzami roślin, ale z kąd pochodził wicher? co znaczyły gromy i pałace się na obłokach błyskawice? ktoś tu bezwątpienia działał, ktoś z wyżyn lub z otchłani wywierał swą władzę tajemniczą, niezwyčajoną—ale kto taki? pierwotny człowiek

odpowiedzieć na to nie umiał. Nie mniej go zajmowały ciała niebieskie, wspaniałe, ruchliwe, wynurzające się z cieniów peryodycznie. Oto na wypukłym sklepieniu nieba iskrzą się milionowe gwiazdy... czemu są one?... Oto wypłynął dwurożny półksiężyc lub całkiem okrągły księżyc — a oto po jakimś czasie, gdy już noc pierzchła, toczyło się po wypogodzonym błękitie złote słońce — czemu jest ten księżyc, czemu ów błękit, a zwłaszcza czemu jest to majestatyczne słońce? Dokąd ono zmierza, i jestże to ten sam święty władca jasności, który zjawił się tu wczoraj z rana i zniknął wczoraj wieczorem? Nie, tamten umarł

zapewne, jak umarły wczorajsze gwiazdy i księżyc przedtem widziane, jak kończy się życie ludzkie, jak gąśnie płonące drewno, jak giną zwierzęta, ptaki i rośliny — umarł, lub odszedł kędyś daleko, gdzie go już wzrok niedosięże, a natomiast narodziło się z bladej jutrzni nowe słońce, wzrosło do pełni blasku — i wkrótce z kolei umrzeć musi. Ale to dopiero później nastąpi, Teraz świeci ono jeszcze promiennymi włosami, przegląda się w przezroczystej toni jeziora, przesuwając się po gładkiej powierzchni nieba, wzbilo się, zawisło wysoko — i już się chylić zaczyna. To okres starości jednolitego gościa, po której wkrótce przyjdzie — śmierć! Tym samym torem albowiem zmierzał wczorajszy jego poprzednik, z tej strony zjawił się, tak samo świecił i zniknął jak widocznie młodemu

następcy zniknąć także przeznaczono. Z pokłonem wdzięczności i wesela witał codziennie lud pogański przybysza, z pokłonem tęsknoty i współczucia żegnał go przy skonięciu, dzieląc żal swój z całą naturą wdziwającą żalobę po utraconym bogu.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

— Pomiędzy badaczami starożytności biblijnych był spór o miejscowość Ophir wspomnianą w księgach Paralipomenon, niemal tak dawny i zawikłany jak między matematykami o kwadraturę koła. Wiadomo z Pisma Ś-go, że kiedy Dawid i Salomon sprowadzali z różnych stron materiały na budowę kościoła jerozolimskiego, złoto, kość słoniową i drogie kamienie w tym celu ściągano z Ophiru; gdzie jednak leżał ów Ophir, napró-

żno ciekawość a może i chciwość ludzka szukała po całym przestworze znanego wówczas świata. Szukano go we wschodniej Afryce, w południowej Arabii, w Indjach, na Sumatrze a nawet w Peru, lecz wszelkie dociekania były daremne. Nakoniec w jesieni r. z. niemiecki podróżnik Karol Manch, idąc śladami Portugalczyków XVI stulecia, zdaje się, że nareszcie dotarł do prawdziwego Ophiru biblijnego w południowo-wschodniej Afryce, na pobrzeżu zwanym Sofala niemal naprzeciw Madagaskaru, w którym swojego czasu królował Beniowski. Portugalczycy pod wodzą Lopeza znaleźli w Sofalu bogate kopalnie złota eksploatowane od niepamiętnych czasów, a nieopodal od tych kopalni zwałiska budowli przypisywanych w podaniu miejscowym królowej Sabbie, której nawiedziny u Salomona

mięmi widzieć stolicę starożytnego Ophiru, składają się ze szczątków ogromnych budowli; niektóre ściany miewają po 30 stop wysokości, 15 grubości, a 450 obwodu. Wszystkie budowle stawiane były z ciosów granitowych bez cementu, co samo jedno już dowodzi ich wielkiej starożytności. Ornamenta tych gmachów przerysowane przez Mancha, jak z jednej strony nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości względem swojego fenickiego pochodzenia, tak z drugiej w sposób przekonujący dowodzą, iż starożytni mieszkańcy dzisiejszej Syrii daleko lepiej znali Afrykę południową niżeli można wnosić z pisarzy łacińskich i greckich. Na północ-zachód od Zimbabeyu roztoczyły się inne obszerne zwałiska, wśród których według powieści mieszkańców ma się znajdować obelisk. Dzisiejsi czarni mieszkańcy

tęj okolicy z plemienia Mahalaka powiadają, iż osiedli w tych stronach dopiero przed 40-tu laty, dawniej zaś według ich powieści mieli tam mieszkać biali, po których pozostały owe „święte” ruiny, oraz wygrzebywane w nich sprzęty żelazne, rzeczywiście nie mogące być dziełem czarnych. Malowicza okolica Zimbabeyu wznosi się na 4,000 stop nad morzem, ma wody podstatkiem i słynie z urodzajności; ludność, która ją zamieszkuje, ma charakter łagodny, zajmuje się uprawą roli i hodowlą bydła. Manch zamierza urządzić wśród niej kolonię, celem eksploatacyi złota.

— W Bostonie, który już raz się wslawił potwornym koncertem, liczącym śpiewaków i muzyków na tysiące, ma się niedługo odbywać „jubileusz muzyczny,” nie ustępujący poprzedniemu. Do koncertu, według dzienników amerykańskich, ma być między innymi użyty organ, którego miechy będą poruszane machiną parową wyrównyującą sile 79 ludzi.



Targ na Muranowie.

Kopia z aquarelli Juliusza Kossaka.

snadź były równie głośnie swojego czasu jak przed kilku laty nawiedziny sułtana w Paryżu i Londynie. Mówiono też Lopezowi, że u mieszkańców są stare księgi, w których spotyka się wzmianka o zwiedzeniu Ophiru przez Salomona; Portugalczycy jednak zajęci wówczas rzeczami piękniejszymi dla siebie niż wspomnienia biblijne, zaniechali ścisłych poszukiwań. Owoż idąc w ich ślady, Manch rzeczywiście znalazł ogromne budowle i ruiny starożytne, szczątki od wieków zaniedbanych kopalni złota, a co najważniejsza piasek złoty mogący się choć zaraz eksploatować dla zaokrąglenia pięcio-miliardowej kontrybucyi francuskiej. Nieopodal rozsypisk tego nieoszacowanego piasku, który nie dla braku gorliwości ze strony p. Mancha nie mógł posłużyć do posypania podpisów traktatu frankfurckiego, leży jedna z największych ruin całych osad, zwana Zimbabey. Miejscowość ta znajdująca się o 41 mil niemieckich na zachód od zatoki Sofalskiej, według pomiaru Mancha leży pod 20° 14' szerokości południowej, a pod 31° 48' długości wschodniej licząc od południka greenwickiego. Zwałiska Zimbabey, w których odkrywa

### Zeszyt trzeci

## ENCYKLOPEDIYI POWSZECHNÉJ

S. ORGELBRANDA

w 8-miu tomach

opuścił prasę.

Wieniec wraz z Encyklopedyą

kosztuje w Warszawie:

rocznie rs. 9 kop. 40, kwar. rs. 2 kop. 35

na prowincyi:

rocznie rs. 13, kwartalnie rs. 3 kop. 25.

Treść: Na Marne, szkic powieściowy Henryka Sienkiewicza (c. d.) — Korespondencya z Berlina. — Przegląd literacki, Gersona. — Noc księżycowa, z W. Hugo. Ze świata Naukowego i Społecznego. Postęp wyobrażeń religijnych w starożytności. — Rozmaitości. — Ogłoszenie. — Ryciny: Ś-ty Jan. — Jelenie w lesie. — Targ na Muranowie. —